

F. T.

Serce matki

Tłóm. z niemieckiego.

5 — Przecież to nie jest normalnie rozwinięte dziecko, mylady — nie mógł się urzędnik policyjny powstrzymać od uwagi. Nie rozumiał, jak można kochać takie brzydkie dziecko. — Ono jest tępe umysłowo i chore...

— A właśnie dlatego tem dla mnie droższe, — łkała Marya. — Im bardziej jest bezsilne, tem większa moja miłość i litość.

Nagle skoczyła i rzuciła się przed baronem na kolana.

— Alfredzie! zostaw mi to dziecko! — błagała. — Miej litość, współczucia trochę dla mnie! Co chcesz zrobić z tą nieszczęśliwą istotą? Umrze bez opieki matki! Wszystko ci przebaczę, o! tylko ten raz pokaż, że naprawdę masz serce.

Wśród jej łez, strumieniami płynących, przejawiał się niewypowiedziany ból, stroskane spojrzenia mówiły więcej, aniżeli usta.

Baron Wolfert nie mógł wytrzymać spojrzenia jej oczu. Odwrócił się bokiem i odpowiedział głucho z gniewem:

— Dlaczego opuściłaś zamek? Wróć, a dziecko będzie miało swą matkę.

— Nędzniku! Wiesz, że tego zrobić nie mogę.

— A więc twoja nienawiść większa jest niż miłość! Jeśli dziecko nie jest dla ciebie nic więcej warte...

— Zabijesz dziecko, jeśli pozbawisz je opieki i starań matki.

Wzruszył, chmurny, ramionami.

— Spojrz na tych ludzi dookoła, Margo i zakończ tę śmieszna scenę. Dziecko przyznało mi prawo, — tyś je uprowadziła, — korzystam obecnie z przysługujących mi praw i odbieram je. Więcej nic nie mam z tobą do czynienia.

Odwrócił się, puszczając naprzód obu urzędników policyjnych, którzy, znudzeni długim parlamentowaniem, chcieli przystąpić do wykonania egzekucji. Ten, który mówił po niemiecku, wyciągnął rękę, aby dziecko pochwycić.

— Nigdy! — krzyknęła baronowa i przycisnęła skarb swój silnie do piersi.

W tej chwili drugi urzędnik schwycił ją z tyłu, przytrzymał jej ręce, pierwszy zaś wyrwał jej silnym szarpnięciem dziecko. Nieszczęśliwa matka krzyknęła, dziecko zaczęło żałośnie płakać.

Stojący dookoła ludzie zaczęli ujmować się za matką, wymyślali głośno na barona i policyję i grozili mu. Rozgrywała się bardzo dramatyczna i drażliwa scena.

— Oddajcie mi moje dziecko! — skarżyła się Marga, usiłując urzędnikowi odebrać małego, — ten podał go szybko baronowi.

— Precz! jak można najprędzej, — zawołał, — inaczej ludzie rzucają się na pana.

Baron usłuchał tej rady. Pod opieką detektywa, wycofał się ze swą zdobyczą na ład. Marga chciała rzucić się za uchodzącymi, ale policyjanci zastąpili jej drogę. Zemdlona upadła na ziemię. Z płaczem rzuciła się jej stara służąca na ratunek, doktor pochylił się nad nią, aby zobaczyć, co może dla niej zrobić. Po chwili przyszła do siebie i otworzyła oczy.

— Dajcie mi spokój, — jęczała złamanym głosem. — Przyjdę sama do siebie. Jeśli pan chce, proszę jutro z dr. Ammarellem przyjść do hotelu „Księcia Walii“, tam zamówiłam pokój, chcę panom wszystkim opowiedzieć, czego jeszcze nie wiecie.

Wzruszeni udali się po chwili obaj mężczyźni ku ładowi.

ROZDZIAŁ VII.

W południe na drugi dzień zastali młodą kobietę przynajmniej zewnętrznie zupełnie spokojną. Paroksyzm rozpacz minął, a owładnął nią stan cichego zapamiętania się w bólu. Potrafiła nawet uśmiechnąć się, kiedy obaj weszli. Z wielką serdecznością podała rękę zwłaszcza lekarzowi, a kiedy wszyscy usiedli, zaczęła opowiadać spokojnym głosem, choć znużonym i pozbawionym zwykłego melodyjnego dźwięku.

— Dziękuję panom za to, żeście przyszli. Czuje wewnętrzną potrzebę, aby w waszych oczach się usprawiedliwić. Proszę nie uważać mnie za hysterkę, nie należę do słabych. Ale walka o moje dziecko trwa już długo...

— Każdy uczciwie myślący człowiek musi znaleźć współczucie dla cierpienia matki, — oświadczył Robert poważnie; — nie potrzebuje pani usprawiedliwiać wybuchu swej boleści.

Powoli opowiadała Marga Wolfert dalej.

— Z domu nazywam się Steinitz. Mój ojciec był prezesem sądu i był zamożnym, ale bardzo skąpym. Od małego dziecka uważana byłam za ładną dziewczynę. Byłam jednak bardzo naiwna, a najlepiej dowodzi tego fakt, że mając już piętnaście lat, bawiłam się najchętniej lalkami. Pewnego dnia, w kilka tygodni po uroczystości urodzin, wyszłam za mąż. Zaiste, odważny skok z pokoju dziecinnego do małżeństwa! Nie czułam żadnej skłonności do mężczyzn, byłam też niepokieszona i płakałam bardzo. Moja rodzina jednak namawiała mnie, przedstawiając, jak wielki zaszczyt mnie spotyka, że drugi raz taka sposobność w życiu może mi się zdarzyć. Miałam bowiem przez małżeństwo stać się bogatą i uzyskać tytuł. Stary baron Wolfert oświadczył się o moją rękę dla swego syna. Mój ojciec i on spotykali się w klubie. Kilka razy odwiedził nas i widział mnie. Syn również był u nas. Cóż miałam robić? Znajdowałam się jeszcze w wieku, kiedy się jest przyzwyczajonym słuchać rodziców. Uczucia żadnego dla mego przyszłego męża nie miałam. Byłam przecież taka młoda i niedoświadczona, a myśl, że jestem zaręczona i zostanę baronową, pochlebiała mi, gdyż nadawała mi wielkie znaczenie wobec moich rówieśnic. Mój narzeczony był o dwanaście lat starszy odemnie, był dla mnie powagą i autorytetem, a ja bałam go się i słuchałam, jak dziecko dorosłą osobę. Pieśczęty jego znosiłam tak, jak uwięziony ptak znosi czułości swego właściciela. Wydał mi się wzorem dystynkcji i mądrości życiowej, mimo, że zachowanie się jego było w istocie impertynenckie. Kpił z wszystkiego i nic nie było dlań świętego, lub podziwiania godnego.

Nie wiedziałam także, że on żyje rozwinięte i rodzice go prawie wydziedziczyli. Nie rozumiałam też zupełnie umowy ślubnej i spadkowej, jaką zawarli jego rodzice z moimi, a która miała mnie i moje dzieci chronić przed jego rozrzutnością.

Rodzice moi uważali, że zrobili dosyć dla mojej przyszłości, jeśli w ten sposób mnie zabezpieczyli. Właśnie jednak te środki ostrożności dowodzą mi jasno, jak dołrzej znali zły charakter mego męża. Mimo to jednak głupia duma i zarozumiałość wydały mnie, prawie dziecko, na łup takiego człowieka. Wiedzieli bowiem dobrze, że rodzice Wolferta żenią go tylko dlatego, iż przypuszczają, że małżeństwo wpłynie dobrze na zmianę trybu jego życia.

Byłam za młoda, aby poważnie zapanować nad takim charakterem jak Ernesta Wolferta, nawet gdybym była wiedziała o właściwym stanie rzeczy. Ale nawet tego nie było. Bez świadomości przyszłości, jaka mnie czeka, poszłam do ołtarza. Proszę sobie wyobrazić moje przerażenie, jak po kilku zaledwie tygodniach pożycia małżeńskiego mój mąż przyszedł zupełnie pijany do domu. W tym stanie okazał różne najwstrętniejsze instynkty. Nie miałam wtedy odwagi, aby mu robić wyrzuty, płakałam tylko, bałam się go i zamykałam na klucz. Wnet byłam pewną już: Ernest pił.

Nie będę się rozwodziła nad tem, com wycierpiała, jako żona tego człowieka. Pił i grał w karty, a gdy się upił, co się często zdarzało, obchodził się ze mną ordynarnie, bił mnie nawet.

Bóg jeden wie, ile nocy przepłakałam i jak bałam się wieczorów, kiedy on powracał. Jedyną mą modlitwą było, aby nie wracał do domu pijany. Cóż pomagało mi, iż rano wytrzeźwiał, przychodził, przeproszał i przyrzekał poprawę? Ojciec jego i matka robili mu gorzkie wyrzuty, grozili mu nawet. To samo robili i moi rodzice. Ale to nic nie pomagało. A ja byłam ofiarą.

Mimo to — a może właśnie dlatego, kiedy po kilku latach urodziło nam się dziecko, stało się ono moim całym szczęściem. Moje serce miało wreszcie coś w tem strasznym małżeństwie, do czego mogło się przywiązać, co przedstawiało pewną wartość i mogło zrównoważyć przykrości mi wyrządzane.

Mały Rudolf urodził się jako rzekomo zdrowe dziecko. Zaledwie mogłam się doczekać chwili, kiedy usłyszę pierwsze „mama“ i ujrzę pierwszy jego uśmiech. Niestety! Czas ten minął, a u dziecka nie pojawił się ani uśmiech, ani też żaden znak duchowego pojmowania. Tępy wyraz oczu pozostawał ciągle. Naprawdę ludziłam się z dnia na dzień, z tygodnia na tydzień. Wezwałam lekarza, — starał się mnie pocieszyć.

— Tylko cierpliwości, pani baronowo — mówił — u jednych dzieci świadomość budzi się wcześniej, u drugich później.

Odpowiedź ta zadowolniłaby kobietę mniej spo-

strzegawczą, ale ja obserwowałam go, gdy bada dziecko i czytałam w jego wzroku wielki niepokój.

— Niech mi pan powie prawdę, doktorze — naciskałam na niego — wiem, że pan ma już swe zapatrywanie skryształizowane.

Po pewnem wahaniu, możliwie najdelikatniej wypowiedział mi całą straszną prawdę. Moje gorąco ukochane dziecko było słabe umysłowo, a w każdym razie zdolności jego duchowe nie rozwijały się. Złamana upadłam na kolana przy jego łóżeczku! Trzymając rękę dziecka w mojej, płakałam gorzko. Ale ostatecznie czegoż innego mogłam się spodziewać? dziecko pijaka!

Niewinnie, zostałam jako matka srogo ukarana! O ratunku, możliwości uleczenia w tym wypadku nie mogło być mowy.

Zwróciłam się do lekarza z zapytaniem, czy może wychowanie, pożywienie i sposób postępowania mogą wpłynąć na stan umysłu mego syna. Wzruszył lekko ramionami.

Marga przerwała opowiadanie, aby opanować wzruszenie. Obaj słuchacze milczeli. Każde słowo pocieszenia wydawało im się w obecnej chwili błażnawym.

— Chcę krótko zakończyć — podjęła dalej biedną kobietę. — Do cierpienia żony przybyły jeszcze cierpienia matki. Która matka potrafi całkiem zerzec się nadziei? Wiedziłam, że lekarz mówił prawdę, mimo to żywiłam ukrytą nadzieję. Naprawdę — dziecko pozostało tępe i bez duszy. Bardzo powoli zaczęły występować u niego lekkie przebliski świadomości. Jakże zazdrościłam wszystkim tym szczęśliwym matkom, które widziały, gdy przechodziły obok mnie, prowadząc swoje ładne normalnie rozwinięte dzieci, które spoglądały na mnie rozumnymi, jasnymi oczyma, pełnymi świadomości. Mimo to, a może bardziej dla tego właśnie kochałam moje biedactwo, potrzebował on mnie więcej, niż dzieci innych matek i to mi wystarczało!

Tymczasem stosunek mój z mężem stał się wprost nieznośnym. Z początku były jeszcze chwile, w których zdawało się, że usposobienie jego zaczyna przechylać się na dobrą stronę. Robił wrażenie człowieka, który mnie kocha, pracował nad sobą, chociaż bez rezultatu, gdyż jego nieokiełzdana natura odnosiła zawsze zwycięstwo. Z czasem poddał się zupełnie swym nałogom, wszelkie pozory upadły. Wreszcie położenie moje stało się tak ciężkim, że nie mogłam go już dłużej znosić. Stał się nałogowym pijakiem, bił mnie po pijanemu, raz nawet groził memu życiu, kiedy upiwszy się, wpadł we wściekłość, tak że musiałam z dzieckiem uciekać do służącej. Starałam się wytrwać mimo to, że względu na dziecko.

Stary baron, arystokrata w szlachetnem znaczeniu słowa, kochał mnie szczerze, a ja odpłacałam mu się szczerem uwielbieniem. Dodawał mi często odwagi i podnosił na duchu. Także obowiązek wdzięczności wiązał mnie z nim, wiedziałam bowiem, że aby mnie i dziecko zabezpieczyć, zamianował Rudolfa swym jedynym spadkobiercą. Mój mąż otrzymywał tylko rentę, gdyż był pod kuratelą. Marnował bowiem wszystko bezmyślnie. Ja z mej strony nie chciałam przyjąć żadnej renty, mały kapitalik, pozostawiony mi w spadku przez rodziców, wystarczał na moje potrzeby. W małżeństwie mem miałam tyle przykrości z powodu złota, że nienawidziłam je szczerze.

Wbrew mej chęci wyznaczył mi stary baron rentę, którą notaryalnie zatwierdził. Miała ona dać mi kiedyś samodzielność, jak mi sam mówił. Wtedy byłam tak przybita, że nie rozumiałam go. Zbyt szybko jednak rzecz stała mi się jasną. Wobec sposobu życia mego męża, można było z góry taki koniec przewidzieć. Mimo to ani stary baron, ani ja, nie wierzyliśmy własnym oczom, kiedy pewnego dnia przyniesiono mego męża do domu ciężko ranego. Po przebulanej nocy wybrał się rano konno na przejażdżkę. Spadł i ciężko się poranił. Koń zrzucił go w przepaść. Znalezione bezprzytomnego i zanieśiono do zamku.

Ojciec jego, który był chory już od dłuższego czasu, padł rażony atakiem apopleksji, na widok syna. W kilka godzin potem mój przyjaciel i doradca skończył swe życie. Nie miałam czasu oddawać się boleści, gdyż obowiązek powoływał mnie do łóżka mego męża. Rana jego była śmiertelna, cierpiał strasznie; wszystkie przykrości i zmartwienia, jakie mi w życiu zadał, zmazał tym jednym momentem, kiedy jęcząc ujął mnie za rękę i szepnął:

— Margo, czy możesz mi przebaczyć? Zdawało się, że ta śmiertelna rana dała mu dopiero opamiętanie.

— Niech przyjdzie Alfred! — jęczał chory. Alfred był jego młodszym bratem, prawie równie lekkomyślnym. Nie znałam go, gdyż będąc w woj-